

Mój Nowodworek

Moja droga do Nowodworka prowadziła przez harcerstwo. Latem 1968 – na rok przed ukończeniem szkoły podstawowej – zostałem zarażony myślą o wyborze I Liceum Ogólnokształcącego. Ania, wakacyjna koleżanka – i już „dojrzała licealistka” po pierwszej klasie Nowodworka – z entuzjazmem opowiadała o szkole, a przede wszystkim o wspaniałych obozach harcerskich. To ona zachęciła mnie do wstąpienia tuż po wakacjach do 7 Krakowskiej Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Reytana, działającej „od zawsze” przy Nowodworku. W ten sposób na przełomie 1968/1969 znalazłem się na „nowodworskim” zimowisku w Sopotni Małej, wśród starszych ode mnie koleżanek i kolegów z I Liceum. Znalazłem się w gronie wspaniałych ludzi, ciekawych świata i podobnie jak ja kochających góry. Niezapomnianym przeżyciem z Sopotni była m.in. nasza zimowa – w śniegu po pas – wyprawa na Romankę. Ta swoista metafora nowodworskiego zawołania „Semper in Altum” utwierdziła mnie w przekonaniu, że powinienem wiosną „zawalczyć” o Nowodworek.

Mit Nowodworka jako szkoły wyjątkowo wymagającej i trudnej, wcale mnie wówczas nie przerażał. Problemem była rejonizacja. Ważnym argumentem w staraniach o zgodę kuratorium na przeniesienie mnie na Groble okazała się moja harcerska aktywność w 7 KDH. Sitem był natomiast egzamin wstępny. Poszedł mi bardzo dobrze. Dlatego na długo zapamiętałem moment, gdy nie usłyszałem mojego nazwiska z ust dyrektora Henryka Sędziwego, który w auli Liceum osobiście odczytywał listę zakwalifikowanych „szczęśliwców”. Do dzisiaj się dziwię, jak wówczas potrafiłem przełamać nieśmiałość, przebić się przez tłum rówieśników i ich rodziców, przedostać się do gabinetu dyrektora Sędziwego, stanąć przed jego obliczem i poprosić o sprawdzenie mojego nazwiska na liście przyjętych. Odpowiedź Dyrektora mnie uskrzydliła: „chłopczyku przecież się dostałeś”. Była to moja indywidualna przepustka do Nowodworka od legendarnego dyrektora.



Górskie korepetycje. Jacek Purchla i Jerzy Zachorowski (późniejszy profesor fizyki UJ) na wędrowce w Górcach, październik 1972, z archiwum prywatnego J. Purchli

Nowodworek od samego początku emanował powagą. Tę szczególną atmosferę „budował” sam gmach I Liceum. Jakże inny od mojej „tysiąclatki”. Na nobliwość tego gmachu składała się nie tylko jego architektura zewnętrzna, ów charakterystyczny dla gimnazjów w całej monarchii austro-węgierskiej „kostium”, ale i niezwykła dekoracja wewnątrz. Poprzez ozdobiony sgraffitem westybul, przechodziliśmy na reprezentacyjną klatkę schodową z tablicami

pamiątkowymi. Ukoronowaniem tego programu była zaś dekoracja Auli przywołująca – poprzez ich wizerunki – pamięć o naszych wielkich, „starszych” kolegach-absolwentach. Ważną funkcję wypełniał dziedziniec szkolny, na którym gromadziliśmy się w czasie przerw i gdzie odbywały się m.in. ćwiczenia z musztry wojskowej, w ramach zajęć Przysposobienia Obronnego. Deficyt powierzchni na naszej niewielkiej sali gimnastycznej kompensowaliśmy w sezonie letnim zajęciami na stadionie sportowym na Placu na Groblach. Najchętniej graliśmy w siatkówkę. Obowiązywały nas jednolite białe stroje (nie tylko białe koszulki, ale i białe spodenki) co – jak pamiętam – wyróżniało uczniów Nowodworka. Naszym naturalnym „wybiegiem” były też Planty. Tam graliśmy nieraz w „zoškę” (podejrzewam, że dzisiaj to gra już całkiem przez Nowodworczyków zarzucona). Na Plantach w czasie przerw można było spotkać księdza Kazimierza Figlewicza – proboszcza i kustosa katedry wawelskiej, a rano w drodze do szkoły pod kościołem franciszkanów samego kardynała Karola Wojtyłę. *Genius loci* Szkoły, spletał się z *genius loci* Krakowa. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych można tu było jeszcze „łapać” resztki młodopolskiego Krakowa. Mieszkający przy Placu na Groblach, twórca „Piwnicy pod Baranami”, Piotr Skrzynecki uosabiał atmosferę artystowskiej wolności i swobody.

Patrzyliśmy na nią z zazdrością jako „więźniowie” najbardziej surowego zakładu w mieście. Dyscyplina była bowiem podstawowym narzędziem „wyciskania” z nas maksymalnego wysiłku w nauce. Do dziś Nowodworek z tamtych lat, kojarzy się zarówno mnie, jak i moim rówieśnikom ze stresem. Stres zaczynał się już przy wejściu, gdzie od rana pan profesor Józef Welc – emerytowany major Ludowego Wojska Polskiego i nasz nauczyciel Przysposobienia Obronnego – urządzał łapanki na uczniów nie posiadających przyszytej do mundurka tarczy. Obowiązywała nas czerwona tarcza na rękawie, poniżej której trzeba było przyszyć belki określające konkretną klasę. Cztery belki oznaczały klasę maturalną. Profesor Welc kontrolował też długość żeńskich mundurków (musiały być długie co najmniej do kolan), wreszcie sprawdzał



Jak w górach, to zawsze z fizyką, październik 1972, z archiwum prywatnego J. Purchli

do klaso-pracowni. Do szkoły chodziliśmy również w soboty, aby po kilku lekcjach uczestniczyć w poranku muzycznym w pobliskiej Filharmonii.

Już w pierwszej klasie spotkało mnie wielkie wyróżnienie. Wspólnie z moim przyjacielem Jurkiem Bukowskim – jako jedyni pierwszoklasiści – zostaliśmy dopuszczeni przez Henryka Sędziwego do elitarnego kółka historycznego. Kółko było oczkiem w głowie dyrektora Sędziwego. Mogli w nim uczestniczyć tylko wybrani uczniowie najstarszej klasy. Henryk Sędziwy był wówczas autorem jedyne go podręcznika do historii najnowszej przeznaczonego dla uczniów ostatnich klas szkoły podstawowej. Podręcznika – jak się należy domyślać – ze szczególną starannością ocenzonego. Dlatego ten przedwojenny piłsudczyk za temat przewodni naszego kółka historycznego wybrał II Rzeczpospolitą. To kółko, w zderzeniu z ówczesnymi obowiązkowymi, oficjalnymi uroczystościami np. w rocznicę Rewolucji Październikowej dobrze ilustruje „podwójną

długość naszych włosów, aby wyeliminować najmniejsze nawet symptomy „bikiniarstwa”.

Fundamentalna różnica pomiędzy szkołą podstawową a liceum polegała jednak na samym procesie nauczania. Ówczesne liceum ogólnokształcące w zasadzie nie przewidywało wyraźnego profilowania klas. Była wprawdzie tzw. klasa biologiczno-chemiczna oraz klasa z poszerzonym językiem niemieckim, ale to czego zarówno mnie, jak i wielu moim koleżankom i kolegom bardzo brakowało to wyraźnego podziału na „humanistów” i „ścisłowców”. Obowiązywał system „gabinetowy”. Przechodziliśmy z lekcji na lekcję, z klasy do klasy. Klasy były zamykane na przerwę. A po dzwonku trzeba się było ustawić w pary i pod kontrolą nauczyciela wejść



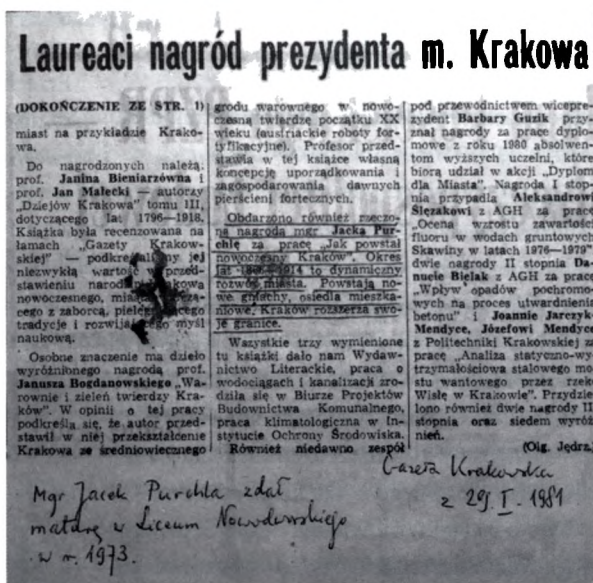
Górskie korepetycje. Jacek Purchla i Jerzy Zachorowski (późniejszy profesor fizyki UJ) na wędrownicy w Gorcach, październik 1972, z archiwum prywatnego J. Purchli



Artykuł w „Gazecie Krakowskiej” z 29 stycznia 1981 roku zamieszczony w kronice szkolnej 1981/82 z opisem sukcesów mgra Jacka Purchli (Źródło: Archiwum Narodowe w Krakowie)

moralność” tamtych czasów. Tę dychotomię odzwierciedlała też kadra nauczycielska i jej wyraźna dywersyfikacja. Nasz szczególnie szacunek budzili „ostatni Mohikanie” z przedwojennych gimnazjów, jak np. sam Henryk Sędziwy czy profesor fizyki Tadeusz Strojny, ze Lwowa. W czasie wypadków grudniowych 1970 roku dyrektor Sędziwy zebrał nas wszystkich w Auli i z wielką determinacją w głosie prosił nas o niewychodzenie wieczorami z domów i unikanie masowych zgromadzeń. W Krakowie świeża była wówczas pamięć pacyfikacji studentów przez milicję i SB w czasie wydarzeń marcowych 1968 roku. Dopiero z dłuższej perspektywy historycznej docenić można mądrość i pozytywistyczny patriotyzm naszego „starego” dyrektora, który chwilę później – w roku 1971 został przeniesiony na emeryturę.

Również młodsza kadra profesorska składała się z wielu niezwykłych osobowości. Każdy z nauczycieli miał oczywiście swój przydomek. Pamiętam więc polonistkę „Kurę” i chemik: „Słonia”. Szczególnie wdzięczną pamięcią do dzisiaj darzę: „Griszę” i „Komusa”. Byli to nauczyciele bez reszty oddani swojej życiowej misji. Profesor Stanisław Jastrzębski, „Grisza” – mój historyk, uczył nas, że historia to nie pytanie „kiedy?”, ale odpowiedź na pytanie „dlaczego?”. By prawdziwym pasjonatem. Czuwał nad nami nie tylko na lekcjach, ale i poza lekcjami. Nieusta-



jąco opracowywał programy i metodykę nowoczesnego nauczania historii. Nawet w czasie przerw „przepowiadał” z nami materiał, co niekiedy wzbudzało entuzjazm wśród uczniów. „Grisza” był przez nas powszechnie kochany. Wojciech Komusiński, „Komus” – matematyk – był natomiast naszym postrachem. Przejął nas dopiero w klasie maturalnej i od razu narzucił bardzo ostre wymagania. Większość naszej



Jacek Purchla w 2018 r. Fot. Paweł Mazur

klasy odchorowywała każdą lekcję. Niektórzy „uciekli” przed Komusem do innych liceów. Ale Wojtek Komusiński miał jeszcze jedną pasję – góry. Imponował nam pierwszym zimowym przejściem Orlej Perci i chętnie odbywał z nami zimą 1972/73 narciarskie „wyrypy”. Aby nikomu nie przyszło do głowy, że nas – narciarzy – traktuje ulgowo, dla zasady po zakończonej nocą niedzielnej wyprawie na narty, już w poniedziałek na „zerówce” o 7.10 wzywał mnie do tablicy i dla przykładu wpisywał dwóję do dziennika. „Komusa” doceniłem dopiero na pierwszym roku studiów ekonomicznych. Ja, jeden z tych „wiszących na włosku”, przez cały pierwszy rok studiów w ogóle nie musiałem się wysilać i byłem jednym z najlepszych studentów z matematyki na bardzo licznym roku. To był ten niezwykły „bonus Nowodworka”, który od tego czasu towarzyszy mi przez całe dorosłe życie.

Z perspektywy ponad 40 lat od mojej matury w roku 1973 wiem też, że to my – uczniowie – stanowiliśmy największy kapitał tej szkoły. Byliśmy głodni wiedzy i głodni świata. Jako obywatele PRL-u wzrastaliśmy w swoistej izolacji. Zero kontaktów z zagranicą i słaby poziom nauczania języków obcych. Ale to Nowodworek przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, harcerstwo i góry, stanowiły częściową rekompensatę i tworzyły nasz świat wartości, którego naturalnym matecznikiem był stary Kraków. Wizyty w katedrze wawelskiej to były wówczas dla nas nie tylko lekcje narodowych dziejów, ale i historii sztuki europejskiej. Ta potrzeba poznania pchnęła mnie też pod koniec klasy maturalnej do grzechu moich jedynek wagarów. Wprowadzono bowiem wówczas ułatwienia w ruchu granicznym pomiędzy PRL, a NRD (dla nie wtajemniczonych Niemiecka Republika Demokratyczna). Wsiedliśmy więc z moją dziewczyną do nocnego pociągu i następnego rano wysiedliśmy w Dreźnie. Po całym dniu zwiedzania miasta spędziliśmy z Basią kolejną noc w wagonie 2 klasy, by nad ranem wysiąść na dworcu głównym w Krakowie i pobiec na poranną kartkówkę u „Komusa”. To była nasza młodość. Pozostaje po niej nie tylko dobra pamięć i trwające do dzisiaj klasowe przyjaźnie, ale wszczepione nam przy Groblach „Semper in Altum”. To dewiza, która prowadzi nas przez życie. To mój bonus Nowodworka 1973+.